

Czym była pierwsza „Solidarność”?

29 sierpnia 2013

Sekwencja zdarzeń, które doprowadziły do zmiany systemu przedstawiana jest następująco:

1976 – organizuje się opozycja.

1980 – Wałęsa skacze przez płot, wybucha strajk, organizuje się „Solidarność”.

1981 – Jaruzelski ratuje Polskę przed chaosem, anarchią, ekstremą, inwazją.

1986 – Gorbaczow daje hasło do zmiany systemu.

1989 – organizuje się „Solidarność”. Zgoda narodowa okrągłego stołu zmywa grzechy PZPR. Jaruzelski pierwszym prezydentem III RP, Wałęsa drugim. Wali się mur berliński, NATO, UE.

Nawet w historii tak przykrojonej do potrzeb propagandy widoczny jest brak logiki. Metamorfozę pierwszego sekretarza PZPR w pierwszego prezydenta RP tłumaczy się zmianami na Kremlu. Jaruzelski „broni komunizmu jak niepodległości”, a kiedy udaje mu się opanować sytuację, akceptuje „dziki kapitalizm” i niepodległość. Pierwsza „Solidarność” jest niedobra, bo przedwczesna, niekonstruktywna, rozpolitykowana, dążąca do konfrontacji. Druga „Solidarność” jest dobra, organizuje się we właściwym czasie, jest konstruktywna i nastawiona pokojowo. Pierwszą i drugą „Solidarność” łączy osoba Wałęsy, a dzieli stan wojenny. Na pytanie „o co walczył Jaruzelski z pierwszą »Solidarnością«?” – odpowiedź jest mętna. Odpowiedzi na proste pytania są jeszcze trudniejsze. Np. dlaczego Jaruzelski wydzielał dzieciom kaszkę mannę?

Sformułujmy hipotezę, która przywraca historii logikę, a komunistom nie odbiera rozumu: System komunistyczny nękaną

kryzysami zezwala na koncesjonowaną opozycję, której zadaniem jest kontrolowanie buntów społecznych i amortyzowanie zmian w systemie. Kieruje do opozycji liczną agenturę. Decyzja zapada prawdopodobnie w 1968 roku (Polski Marzec, Praska Wiosna). Strajk w Stoczni Gdańskiej w 1980 r. jest prowokowany, choć trudno powiedzieć, czy chodziło wówczas tylko o zmianę ekipy władzy, czy już o zmianę systemu. Prowokację przejmuje niezależna opozycja, sytuacja wymyka się spod kontroli i ruch społeczny staje się niesterowalny.

Równocześnie, na przełomie lat 1970. i 1980., na Zachodzie Ronald Reagan i Margaret Thatcher inicjują prawicową rewolucję, która przekształca demokratyczny kapitalizm – oparty o umowę społeczną państwa opiekuńczego – w neoliberalizm. Trudno powiedzieć, kiedy na Kremlu, a raczej na Łubiance zapada decyzja o odejściu od doktryny marksistowskiej. Można jedynie dowieść, że w 1982 r. plan zmiany systemu był już realizowany. Np. w liście, który Lech Wałęsa wręczył księdzu Orszulikowi 17 stycznia 1982 r., czytamy: „Ciosek ze swej strony wypowiedział się, iż może partia będzie zawieszona czy nowa” (A. Micewski, Kościół wobec Solidarności i stanu wojennego, s. 93).

Elity polityczne Wschodu i Zachodu w tym czasie zmierzały już do tego samego, nowego systemu opartego na doktrynie neoliberalnej (bezwzględna prywatyzacja docelowo obejmująca również podatki i wycofanie się państwa z jego funkcji). Podział świata na dwa wrogie bloki dobiegał końca.

Jedyną przeszkodą w realizacji tego celu była „Solidarność”, której idee, zasady i metody działania, sprzeczne zarówno z doktryną marksistowską, jak i neoliberalną, nieoczekiwanie okazały się popularne i zrozumiałe w Polsce i na świecie, zyskały mocne, masowe poparcie. Była to nowa, atrakcyjna dla społeczeństwa propozycja samoorganizacji. Musiała być zniszczona, wykorzeniona, skompromitowana. Polska była kluczowym państwem dla dokonujących się na świecie zmian, choć w innym sensie i z innego powodu niż próbuje to nieudolnie

dowieść fałszowana i przykrawana historia.

Odpowiedź na pytanie „czym była pierwsza »Solidarność«?” – ma zasadnicze znaczenie nie tylko dla zrozumienia historii, ale również dla przyszłości społeczeństw szukających dróg ucieczki z pułapki monetaryzmu i neoliberalizmu. „Solidarności” nie da się powtórzyć, ale świadomość, że „inny świat jest możliwy” pozwala zachować nadzieję.

Na pytanie, czym była „Solidarność”, dostajemy różne, często sprzeczne odpowiedzi. Co ciekawe, zaangażowani w „Solidarność” lat 1980-81 nie mieli kłopotu z określeniem tożsamości swojej organizacji. W nieustannych dyskusjach, sporach i uzgodnieniach określano cele bieżące, opracowywano taktykę, szukano metod. Dyskusji nad celem strategicznym nie poświęcano wiele uwagi, nie formułowano go nie tylko ze względu na groźbę inwazji. Cel strategiczny był jasny i oczywisty dla każdego – generalny remont Polski.

„Solidarność” nie była bezmyślnym ruchem roszczeniowym, o co pomawiana jest z prawa i z lewa (SLD tak uparcie nazywana jest lewicą, że trudno to za każdym razem prostować). Od pierwszych dni strajku pułap podwyżek szacowany był tak, aby nie doprowadzić do kryzysu ekonomicznego. Pracodawcą było państwo i doprowadzenie do jego bankructwa, o ile w ogóle możliwe, oznaczałoby wprowadzić zawalenie komunizmu, ale na własną głowę. „Solidarność” była antykomunistyczna, więc pojawiało się pytanie, „czy im gorzej, tym lepiej”, ale zawsze odpowiedzią było – „tym lepiej, im lepiej”. Potem w zakładach pracy i branżach działały sekcje ekonomiczne, które próbowały oszacować bilans kosztów i dochodów, aby określić udział płac i zasadność podwyżek. Wszystko to było bardzo trudne, ponieważ albo brak było wiarygodnych danych, albo były one niedostępne. Wiele zakładów pracowało na potrzeby imperium. Odkryto i opisano mechanizm wyzysku – rubel transferowy.

Z upływem czasu spadało zaufanie do kompetencji władz i rosła wiara we własne siły. W naprawie Rzeczypospolitej władza była

trudną do zwalczenia przeszkodą, więc gdzie to było możliwe, próbowano ją omijać. Uzgadnianiu i realizacji projektów naprawy sprzyjała terytorialna struktura „Solidarności”, porozumienia w sekcjach zawodowych i branżowych, a także cała plejada organizacji otaczających „Solidarność” – stowarzyszeń twórców i wolnych zawodów, studentów, związków rolników, samorządu pracowniczego. Pojawiły się załączki partii politycznych (liberałowie, komuniści). W PZPR działały tzw. poziomki – porozumienia poziome. Wszystkim „Solidarność” gwarantowała ochronę przed represjami za przekonania.

Kłopoty z klasyfikacją „Solidarności” zaczęły się post factum. Prawie wszyscy zgadzają się, że „Solidarność” była związkiem zawodowym, ruchem społecznym i samorządowym. Patrioci dodają – i zrywem niepodległościowym. Ludzie związani z KOR-em widzą w „Solidarności” realizację hasła Kuronia: „Nie palcie Komitetów, zakładajcie własne”. Inni pamiętają drugą maksymę Kuronia: „Rozpędzonego stada mustangów nie da się powstrzymać. Trzeba wskoczyć na grzbiet, mocno trzymać się grzywy, a kiedy pęd osłabnie, powoli wykręcać”. Może dlatego kręgi warszawskie nazywają czas „Solidarności” karnawałem. Przyjemnie przejechać się na mustangu.

Historyk Antoni Dudek mówi o reglamentowanej rewolucji, ale dotyczy to dopiero lat 1988-1990. Radykalni niepodległościowcy Moczulskiego zarzucają „Solidarności” ograniczanie się do „programów kiełbasianych”. SLD taktownie milczy, przypomina tylko realia, utopijność żądań i aspiracji ekstremy w kontraście do rozumu i talentu politycznego Wałęsy. Ludzie związani z Kościołem widzą w „Solidarności” odpowiedź na naukę Jana Pawła II i odnowę moralną. Anna Walentynowicz dodaje: Solidarność ludzkich serc.

„Solidarność” była tym wszystkim i może jeszcze czymś więcej. Niemal wszystkie opinie o „Solidarności” zawierają część prawdy (nawet te wyraźnie tendencyjne) choćby dlatego, że „Solidarność” była masowym ruchem demokratycznym, rozwijającym się niezwykle dynamicznie, działającym we wrogim otoczeniu.

Utrzymywała kierunek, prowadziła uzgodnioną politykę dzięki godnym podziwu staraniom wielu członków, żeby czegoś nie popsuć. Ludzie przyjeżdżali z drugiego końca Polski do Gdańska tylko po to, aby zapytać: „czy dobrze robimy?”.

Fałszywy jest tylko wykluczający charakter niektórych definicji i opinii. „Solidarność” nie mieści się w żadnej szufladce, wymyka się ocenom. Nie pasuje do dychotomicznego obrazu świata lat 1980. Nie można jej opisać jako powstania narodowego. Związek zawodowy nie był tylko przynętą dla robotników rzekomo obojętnych wobec sprawy niepodległości. Związek zawodowy był autentycznym celem, działał realnie, nie pozornie. Próba opisu w kategoriach marksistowskich daje tak karykaturalny obraz „Solidarności”, że trudno ją rozpoznać.

Nie jest też prawdą, że „»Solidarność« chciała kapitalizmu”, a już na pewno nie chciała „dzikiego kapitalizmu” z jego początków i ery kolonialnej, ani neoliberalizmu, tej odmiany kapitalizmu, w którą ewoluował system w latach 1980. i 1990. Załogi miały silne poczucie własności i odpowiedzialności za swoje zakłady. Polacy widzieli, że ich majątek jest źle zarządzany i chcieli to zmienić. Ich praca, często ciężka, brudna i źle opłacana, służyła systemowi, a nie społeczeństwu. Marnowany był wysiłek ludzi, surowce, energia, zanieczyszczane było środowisko. Jednak, gdyby ktoś wtedy im powiedział, że walczą o to, aby te zakłady sprzedać partyjnym bonzom i zagranicznym koncernom po cenie złomu, zniszczyć i zamknąć, byłiby oburzeni. Prywatyzacja nie była celem „Solidarności”. Natomiast powszechnie akceptowane było żądanie równych praw dla wszystkich przedsiębiorstw bez względu na formę własności. Oczywiście dawało to zielone światło prywatnej inicjatywie. Natomiast prywatyzacja uzasadniana ideologicznie wyższością własności prywatnej nad własnością państwową byłaby sprzeczna z najważniejszą zasadą „Solidarności”: Żadna doktryna ideologiczna nie będzie dominować nad gospodarką. Jedynym celem gospodarki jest zaspokajanie potrzeb społeczeństwa.

Ludzie mieli dość ideologii nie tylko w gospodarce. Nie dążyli

do utopijnej jedności, wystarczyła im solidarność. Chcieli kierować się racjonalnością, sprawiedliwością, własnym interesem, ale z uwzględnieniem interesów innych.

Jedynym pozytywnym doświadczeniem historycznym, do którego mogli odwołać się Polacy, był okres dwudziestolecia międzywojennego. Ludzie pamiętali błędy i wady II RP, trudne początki, bezrobocie, analfabetyzm, zacofanie wsi, ale mieli nadzieję, że jeśli wybijemy się na niepodległość, wszystko zrobimy lepiej. III RP, gdyby była budowana przez pierwszą „Solidarność”, nie mogłaby zerwać z tą tradycją II RP, którą ludzie pamiętali i cenili – np. gęsta sieć państwowych kolei, ulgi dla młodzieży i nauczycieli, rozwój bezpłatnej państwowej edukacji, wzorowe przedsiębiorstwa prywatne (np. Cegielskiego), aktywna polityka gospodarcza państwa, budowa Gdyni i Centralnego Okręgu Przemysłowego, wykupywanie przedsiębiorstw z rąk obcego kapitału. Przypuszczanie, że celem „Solidarności” była dominacja międzynarodowych koncernów nad polską gospodarką, osłabianie państwa i ograniczanie jego roli – jest absurdem.

Równie fałszywe jest przypisywanie „Solidarności” hasła „socjalizm [czytaj: komunizm] tak, wypaczenia nie”. To hasło partyjnych reformatorów PRL oznaczało wówczas wmontowanie „Solidarności” w system i nikt nie ośmieliłby się głosić go publicznie, nawet Wałęsa, choć podobno potem do tego się przyznawał. „Solidarność” domagała się respektowania zasady wolności wyznania i swobody działania Kościoła. Członkowie „Solidarności” niekiedy demonstracyjnie podkreślali przywiązanie do religii i tradycji, ale „Solidarność” nie była klerykalna, jak obecnie czasami się twierdzi. Np. na zebraniu Krajowej Komisji Porozumiewawczej uczestnicy z szacunkiem wysłuchali opinii biskupa o szkodliwości strajku, nie polemizowali, a po wyjściu biskupa jednogłośnie proklamowali strajk. Aż do stanu wojennego, mimo nacisków ze strony Kościoła, „Solidarność” nie zajęła stanowiska w sprawie prawnego uregulowania problemu aborcji. Uznano, że

rozstrzygnięcie tej kwestii nie leży w kompetencji Związku, a wprowadzenie tego tematu na forum organizacji zablokuje działalność i utrudni osiąganie konsensusu w innych sprawach.

„Solidarność” nie była antysemicka czy ksenofobiczna. Była patriotyczna, nie nacjonalistyczna. Posłanie do narodów Europy Środkowo-Wschodniej było kontynuacją polskiej tradycji „Za wolność naszą i waszą”.

Naszym zdaniem, „Solidarność” była pierwszym masowym, zorganizowanym ruchem antyglobalistycznym, choć oczywiście wówczas nie wiedzieliśmy o tym. Trudno dzisiaj powiedzieć, jak przebiegałaby transformacja ustroju pod kontrolą pierwszej „Solidarności”. Jednego tylko możemy być pewni – determinizm historyczny był „Solidarności” całkowicie obcy. Hasło „Nie ma alternatywy dla planu Balcerowicza”, zostałoby po prostu wyśmiane.

Autorzy: Joanna Duda-Gwiazda i Andrzej Gwiazda

Źródło: [Nowy Obywatel](#)

O AUTORACH

Joanna Duda-Gwiazda – inżynier okrętowiec, działaczka Wolnych Związków Zawodowych Wybrzeża (1978) i pierwszej „Solidarności” (członek prezydium MKS-MKZ, Zarządu Regionu), w stanie wojennym internowana, niezależna dziennikarka i publicystka („Robotnik Wybrzeża”, „Skorpion”, „Poza Układem”). Od początku do dziś konsekwentnie w opozycji do metod i polityki firmowanej przez Lecha Wałęsę i jego następców. Żona Andrzeja Gwiazdy. Stała współpracownica „Obywatela”.

Andrzej Gwiazda – ukończył Politechnikę w Gdańsku, tam pracował, po Marcu '68 usunięty z uczelni. Wraz z żoną Joanną Dudą-Gwiazdą zaangażował się we współpracę z Komitetem Obrony Robotników, był redaktorem „Robotnika Wybrzeża” i współzałożycielem Wolnych Związków Zawodowych Wybrzeża. W Sierpniu '80 członek prezydium Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego, jeden z autorów postulatów gdańskich. Następnie

wiceprzewodniczący KKP „Solidarności” przez okres 16 miesięcy do stanu wojennego. Popadł w konflikt z L. Wałęsą, zarzucając mu autokratyzm i nadmierną ugodowość wobec władz komunistycznych. Na I Zjeździe „Solidarności” jesienią 1981 r. kandydował bez powodzenia na stanowisko szefa związku. W stanie wojennym internowany, oskarżony w słynnej sprawie tzw. jedenastki. Kilka lat więziony w ciężkich warunkach. Po wyjściu z więzienia izolowany przez Wałęsę i jego zwolenników. Bardzo krytyczny wobec „okrągłego stołu” i jego następstw. W 1991 r. startował w wyborach parlamentarnych z ugrupowaniem Poza Układem (razem z Anną Walentynowicz) – bez powodzenia. Przez kilka lat redaktor pisma „Poza Układem”. W drugiej połowie lat 1990. zawiesił czynną działalność polityczną. W 2000 r. otrzymał tytuł honorowego obywatela miasta Gdańsk jako sygnatariusz porozumień sierpniowych. Miłośnik gór.